

Janusz Szablicki

Pokrętne Ścieżki Bogów



Janusz Szablicki

POKRĘTNE ŚCIEŻKI BOGÓW

© Copyright by
Janusz Szablicki & e-bookowo

Projekt okładki Janusz Szablicki

ISBN 978-83-7859-751-3

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2016

Rozdział I Zcyferbytuwstanie

Najprzód - nim jeszcze w pełni zdał sobie sprawę z tego, że jest właśnie Donkiem, szefem militaryków pełniącym aktualnie służbę na pokładzie grawiplanu o numerze rejestracyjnym 23 powracającego z Układu 55 Cancrri w gwiazdozbiornie Raka - w jakiś niepojęty sposób, pewnie tak jak ameba, pojedynczymi molekułami swego jeszcze nie do końca należycie wykreślonego w przestrzeni, febrycznie rozedrganego galaretowatego ciała odczuł wypełniający go zda się bezkresny mrok nasycony niezmiernie bliską absolutu ciszą. Potem ów mrok zaczął się z wolna jakby rozpraszać, nasiąkać króciutkimi jak mgnienie oka eksplozjami mniej lub bardziej jaskrawych barw, delikatnymi niczym najlżejsze tchnienia poszumami bioprądów rodzących się gdzieś w najsekretniejszych zakamarkach jego organizmu, łagodnym, w jakiś bliżej nieokreślony sposób kojącym szmerem krwinek wprawianych w życiodajny ruch, niezmordowanie trących o ścianki dopiero co zrewitalizowanych żył i suchym, niezmiernie jeszcze odległym od pożądanej rytmiczności szelestem na przemian wypełniających się i opróżniających w przeogromnym znoju płucnych pęcherzyków. Wszystko to trwało przez jakiś absolutnie niemożliwy do jednoznacznego zdefiniowania czas, z wolna acz bezustannie narastając, nabierając coraz to nowych odcieni, aż wreszcie jego świadomość przewyciężywszy wszelkie zapory spiętrzone przed nią przez arcyzawiłe biomultiplikacyjne procesy znane pewnie tylko najtęższym spośród multiplikatorów jednym

tęgim, nie nazbyt miłym targnięciem wychynęła z toni cyfrowego bytu.

Jeszcze przez parę sekund tkwił nieruchomo, niczym najprawdziwsza mumia, we względnie przytulnym polu podawczym fulkreatora; jego źrenice dosyć szybko oswajały się ze spływającą od sufitu kaskadą miękkiego, a pomimo to zdającego się przeszywać na wskroś każdą z osobna tkankę jego organizmu światła. W końcu wyczuwszy którymś tam ze swych zmysłów, iż już odzyskuje zwykłą zdolność do kontemplacji poszczególnych kształtów okalającego go świata, z niejakim trudem przewyciężywszy leciusieńką sztywność karku potoczył ostrożnie dookoła okiem.

Jak było do przewidzenia, przy półokrągłej baterii operacyjnych ekranów już się żwawo uwijał Kernan, odpowiedzialny na przebieg rejsu pierwszy galaktogator drugiej rangi. Nie wiedzieć dlaczego Donkowi przemknęło przez myśl, iż musiał on zostać wzbudzony tuż przed nim. Takie wrażenie mogło wynikać z faktu, że najwyraźniej dopiero co rozpoczął wklikiwanie z ogromną wprawą na kilku pulpitych naraz tych parę przewidzianych procedurami programów, wywołując tym na ekranach istną orgię błyskawicznie zmieniających się liczb i najrozmaitszych, najczęściej kompletnie nic nie mówiących Donkowi niezmiernie skomplikowanych wykresów.

- Zdefiniowano już dla nas parkingową? - przewyciężywszy sztywność języka zagadnął jeszcze troszeczkę zachrypniętym głosem, umiejętnie wykorzystując moment znieruchomienia palców starszego i wiekiem, i stażem kolegi ponad klawiaturą.

Kernan nawet się nie pofatygowawszy oderwaniem oczu

od wprost kipiących życiem ekranów, poruszył niechętnie ramionami.

- Chwilkę cierpliwości! - nie tyle powiedział, ile raczej warknął z odcieniem irytacji, iż przeszkadza mu się w skomplikowanej, niewątpliwie wymagającej zaangażowania całej uwagi operacji - Wkrótce wszystko będzie już całkowicie jasne!

Na efekty jego poczynąń rzeczywiście nie trzeba było czekać nazbyt długo. Po wykonaniu przezeń jeszcze paru precyzyjnych, nieomal chirurgicznych kliknięć burza z ekranów raptem ustąpiła, pozostawiając po sobie jedynie parę mniej lub bardziej stabilnych kształtów. Ekran centralny był obecnie okupowany przez wielokrzywiznowy strzelisty wykres o wielce niepokojącej, jakby coraz to bardziej rozżarzającej się w miarę przesuwania się ku jego górnym partiom barwie. Po obydwu stronach do jego podstawy przylegało parę kolumnienek o różnej wysokości skonstruowanych z nieśpiesznie, lecz ustawicznie zmieniających się liczb. Natomiast na każdym z trzech ekranów wspomagających prezentowały swoje wdzięki układy planetarne o rozmaitych wielkościach. Z początku Donkowi wydało się, iż są one zupełnie nieruchome. Ale kiedy się im przyjrzał troszeczkę dokładniej, udało mu się wychwycić dwa rodzaje ich niezmiernie powolnych, ale jednak z całą pewnością nie mających nic wspólnego ze złudzeniem ruchów: poszczególne składniki wchodzące w skład każdego z owych układów przesuwwały się po jeszcze niemożliwych do sprecyzowania elipsach wokół o wiele masywniejszych obiektów centralnych, to znaczy gwiazd, a ponadto płaszczyzny owego ruchu w miarę upływu czasu jakby zmieniały kąt nachylenia w stosunku do obserwatora. Naj-

ważniejsze w tym wszystkim było jednak to, iż żadna z owych trzech kompozycji z całą pewnością nie miała nic wspólnego z ich starym, pocziwym Układem Solarnym!

Kiedy już to sobie w pełni uświadomił, wzdłuż kręgosłupa przebiegła mu pośpiesznie cała kawalkada mrówek. Wprawdzie jak dotąd nie dane mu jeszcze było w praktyce zetknąć się z tego rodzaju zjawiskiem, lecz każdy bez wyjątku militaryk znał przecież z teorii wszelkie mogące wynikać z niego implikacje na tyle dobrze, by po każdym zeroczasowym rejsie, w którym przychodziło mu brać udział, westchnąć z niekłamną ulgą, że i tym jeszcze razem ominęła go owa arcywątpliwa przyjemność osobistego zmierzenia się z nim.

Znana mu była naturalnie także niespecjalnie rozbudowana paleta kroków stojących do dyspozycji po stwierdzeniu zaistnienia tego rodzaju zjawiska. Tak się jednak w tym przypadku pomyślnie dla niego składało, że obowiązujące procedury jednoznacznie preferowały praktyków do wyboru optymalnych działań spośród owego wachlarza, jeżeli się tylko takowi na pokładach grawiplanów w tego rodzaju newralgicznych momentach akurat znajdowali. A Kernanowi jako jednemu z nielicznych galaktogatorów dane już przecież było wychodzić z podobnych opresji obronną ręką, więc siłą rzeczy to właśnie na jego barkach spoczywał obecnie, przynajmniej dopóty, dopóki koordynator znajdował się jeszcze w stadium cyferbytu, obowiązek podejmowania wszelkich niezbędnych decyzji. Jako też Donkowi nie przyszło na nie czekać nazbyt długo.

- Zechciej łaskawie sprawdzić, na jakim etapie wzburzenia znajduje się koordynator - nie tyle poprosił, co polecił

Kernan, swoim zwyczajem nawet się nie pofatygowawszy oderwaniem oczu od ekranów.

To z pewnością nie był najważniejszy moment dla spierania się co do zasad *savoi-vivre*, więc Donk natychmiast posłusznie zakrzętnął się koło ascezoza. Jakakolwiek jego interwencja okazała się jednak zupełnie zbyteczna, nie upłynęło bowiem nawet i pół minuty, kiedy Lomber pomyślnie zmaterializował się w kwadraturze pola podawczego fulkreatora. Niewykluczone, że Donkowi tak się tylko wydało, tym niemniej odniósł wrażenie, że odzyskał on pełnię świadomości niemal natychmiast po tym fakcie, a w każdym razie o wiele szybciej, aniżeli miało to miejsce z nim samym przed chwilą.

- Dysponujecie już parametrami parkingowej? - jakby pragnąc możliwie najdokładniej skopiować pierwsze momenty dojścia Donka do świadomego bytu zagadnął pogodnie, kierując się lekkim krokiem ku operacyjnym bateriom. Czyż można się jednak było spodziewać po nim jakiegoś innego nastroju po pomyślnym zcyferbytuwstaniu?! Wystarczył mu jednak krótki rzut oka na ekrany, aby bezpowrotnie pierzchnęło jego znakomite samopoczucie. Milczał przez parę sekund, jakby mu nagle skołowaciał język, zupełnie odmawiając posłuszeństwa.

- Pa...roksyzm?! - westchnął wreszcie na dwa takty w taki sposób, jak gdyby jeszcze nie do końca opuściła go nadzieja, iż spotka się z ich strony z zaprzeczeniem; że to może tylko jego oczy nie odzyskawszy jeszcze w pełni swoich przyrodzonych właściwości karmią go niezupełnie adekwatnymi do stanu faktycznego sygnałami.

- Można rzec, wprost klasyczny! - Kernan brutalnie po-

zbawił go tej mizernej resztki drzemiących w nim jeszcze sympatycznych złudzeń. Chwilę milczał z utkwionym w wykres wzrokiem, po czym głosem, w którym zdawało się pobrzmiewać leciuteńkie znużenie, poinformował, iż wszystko zostało już przez niego przeanalizowane tak drobiazgowo, jak to tylko w obecnej chwili w ogóle było możliwe. I że powinni w myśl obowiązujących w takich przypadkach procedur jak najspieszniej opuścić grawitacyjny kanał.

- Bo inaczej możemy się wkrótce znaleźć nie wiadomo gdzie. Być może w ogóle pozbawieni możliwości powrotu! - zakończył na jednym wydechu.

Lomber przyłgnął okiem do pomocniczych ekranów. Potarł frasobliwie wierzchem dłoni czoło.

- Szczęście w nieszczęściu, że przynajmniej nie możemy się specjalnie skarżyć na brak kandydatów do udzielenia nam schronienia na czas tej cholernej zawieruchy! - starrannie odkaslnąwszy w zwiniełą w trąbkę dłoń powiedział ze smętnym wyrazem twarzy. - Czy dokonałeś już może najbardziej korzystnego z punktu widzenia naszych interesów wyboru?

- Ten układ jest optymalny dla udzielenia nam gościny - Kernan wycelowawszy koniuszkiem wskazującego palca w drugą od prawej taflę ekranu poinformował pewnym głosem, i tym razem nawet się nie pofatygowawszy odwróceniem ku swym towarzyszom twarzy. - Inaczej możemy się ocknąć w jakimś rejonie, z którego powrót do właściwego grawikanau po zakończeniu się tego paskudztwa stanie się bardzo trudny. Albo i nawet wręcz niemożliwy!

Koordinator lekko się pochyliwszy zachłannie zgłębiał

przez chwilę treść pasków przesuwających się z umiarkowaną prędkością przy dolnych krawędziach pomocniczych ekranów.

- Jesteś tego pewien? - wolno prostując się rzucił z odzieniem zdziwienia. - Przecież ten tutaj... - wskazał na ekran pierwszy od prawej - jest zlokalizowany zdecydowanie bliżej nas!

Kernan energicznie dźwignął się na nogi i odsunął fotelik na stronę. Wreszcie zwrócił się twarzą do swoich kolegów. Jak gdyby uważał, że w ten sposób wzmocni wagę przedstawianych przez się argumentów.

- Nie przeczę - od razu się zgodził ze spostrzeżeniem koordynatora. - Musimy jednak bezwzględnie kierować się zasadą generalnej optymalizacji naszych poczynąń, a nie doraźnymi korzyściami wynikającymi z pojedynczych ich elementów. A w tym konkretnym przypadku wybór proponowanego przeze mnie wariantu zapewnia nam o wiele korzystniejszą, a nadto zdecydowanie pewniejszą operację powrotnego wniknięcia we właściwy grawitacyjny kanał, kiedy już ich siatka z powrotem się ustabilizuje po tych wszystkich szaleńczych, charakterystycznych dla tego zjawiska protuberancjach. To zdecydowanie musi przeważać wszelkie łatwe do przewidzenia niedogodności wynikające z rezygnacji z zaoszczędzenia tych parudziesięciu godzin na dotarcie do celu! - zakończył pouczającym, nie dopuszczającym jakiegokolwiek sprzeciwu, istic belferskim tonem.

Lomber przygryzłszy dolną wargę przez parę sekund zastanawiał się nad tym, co dopiero co usłyszał, a następnie machnąwszy z rezygnacją ręką powiedział:

- Dobrze, ogólnie biorąc masz chyba rację. Zwłaszcza że to właśnie ty w pełni odpowiadasz za prawidłowe przeprowadzenie tego manewru! Czy już może wybraliście tam element najbardziej nadający się na udzielenie nam gościny?

Tym razem to Kernan bardzo starannie odchrząknął w dłoni, po czym w niemal telegraficznym skrócie, zupełnie jakby go ktoś poganiał, poinformował, że wytypowany przezeń układ składa się z jednego elementu pierwszej generacji podobnego typu jak Słońce, w czym nie można się zresztą było dopatrywać niczego nadzwyczajnego, jako że było powszechnie wiadomo, iż systemy bezpieczeństwa grawiplanów dla ułatwienia ich załogantom przetrwania zawsze w przypadku wystąpienia Paroksyzmu starają się odnajdywać właśnie tego rodzaju układy, oraz sześciu obiektów drugiej generacji, z których orbity dwóch mieściły się całkowicie w lokalnej ekosferze dla organizmów typu białkowego. Z tym że orbita czwartego zlokalizowana była niemal w samym jej centrum, natomiast piąty przemieszczał się po mocno wydłużonej elipsoidalnej orbicie, w najbardziej odległych od gwiazdy punktach niemal ocierającej się o krańce ekosfery. I taki ich układ naturalnie z góry przesądzał o wyborze!

- Samo tkwienie w ekosferze to tylko potencjalne możliwości - sucho zauważył Lomber, nawet nie próbując wyjaśniać, co ma konkretnie na myśli, było to bowiem przecież samo przez się zrozumiałe. - Wiadomo już może, czy na którymś z tych elementów zostały one w jakimś tam stopniu wykorzystane?

Kernan poruszył ramionami.

- Od układu dzieli nas jeszcze nazbyt duży dystans, aby

można było cokolwiek rozsądnego na ten temat powiedzieć – chłodno wyjaśnić. - A poza tym jeżeli się nawet coś tam wylęgło, ale jeszcze nie weszło w fazę mniej więcej zaawansowanej technicznej efektywności, to praktycznie szansę na wykrycie tego będziemy mieć w najlepszym wypadku dopiero po wejściu na parkingową.

Koordinator Lomber jeszcze przez chwilę milczał, z nieodgadnionym wyrazem twarzy błędząc oczami po ekranach. Zupełnie jakby się spodziewał, iż lada moment wychynie z nich coś, co go zmusi do skorygowania propozycji galaktogatora. A potem niegłośno, ale zdecydowanie powiedział:

- W porządku, zezwalam na wyjście z grawikanatu w momencie, jaki uznasz na najbardziej z punktu widzenia naszych interesów po temu wskazany. A potem natychmiast przystępujcie do wzbudzania załogantów. Naturalnie rozpoczęcie z wiadomych względów od makrologa. A następnie weźcie się za Croata. Trzeba mu dać troszkę czasu na niezbędne przygotowanie się do przeprowadzenia badań, jak znieśliśmy dokonanie tego niepełnego zeroczasowego skoku. W drugiej natomiast kolejności... - zwrócił się bezpośrednio do Donka - oddasz się w jego ręce ty i twoja drużyna, tak abyście znajdowali się w pełnej gotowości do przeprowadzenia każdej akcji, jaka okaże się niezbędna po wyjściu na parkingową. Dalszą kolejność pozostawiam waszej inwencji. Czy wszystko jest jasne?

Niczym dwa sprzężone ze sobą automaty jednocześnie skłonili głowy w geście potwierdzenia.

- No to doskonale! - oświadczył koordinator. Rozglądnął się gospodarskim okiem po nawigacyjnej. - Ponieważ na

razie nie widzę tu dla siebie żadnego pilnego zajęcia, póki co rozejrzę się troszeczkę po pokładach. Co prawda nie spodziewam się tego, gdyby jednak coś zaczęło odbiegać w jakikolwiek sposób od normatywów związanych z zaordynowanym nam okolicznościami manewrem, natychmiast kontaktujcie się ze mną!

To powiedziawszy wykręcił energicznie na pięcie i bez szczególnego pośpiechu ruszył ku drzwiom.

Kernan jeszcze raz udowodnił, że w reprezentowanej przez siebie dziedzinie jest naprawdę nie lada fachowcem, gdyż wcale przecież nie należącego do najprostszych manewru wyjścia z grawikanatu niemal się w ogóle nie odczuło. Donk z jego zakończenia zdał sobie właściwie sprawę dopiero wówczas, kiedy mu galaktogator bynajmniej nienachalnie przypomniał, iż jest już najwyższy czas, by zabrał się do wypełniania polecenia koordynatora. Bez dalszej zwłoki przystąpił zatem do odpowiedniego przeprogramowywania asceoza. Pola podawcze fulkreatora dla pozostałych, to znaczy sprawujących mniej newralgiczne od nich trzech funkcje załogantów zlokalizowane były w zupełnie innym segmencie grawiplanu, więc efektywność swoich poczynąń dane mu było śledzić jedynie za pośrednictwem kontrolnych wskaźników obciążenia aparatury. W oparciu o nie mógł z czystym sumieniem zameldować koordynatorowi po jego powrocie, że jeśli idzie o tempo wzbudzania, to wszystko przebiega w całkowitej zgodzie z obowiązującą w tym zakresie procedurą.

- Wiem o tym i bez ciebie, wszędzie jest już tak tłoczno, że ledwie się tutaj przedostałem! - uśmiechnął się krzywo

Lomber, po czym zwrócił się go Kernana: - A jak tam u ciebie przedstawiają się sprawy?

- W myśl naszych niedawnych ustaleń niezwłocznie po wyjściu z grawikanatu obraliśmy kurs na to - Kernan klepnął delikatnie samymi koniuszkami palców po matowej obudowie właściwego ekranu, który teraz zajęty już był niemal całkowicie przez siedmioobiektowy układ, sześć planet o rozmaitych średnicach i dyrygująca ich monotonnym, nie nazbyt pośpiesznym tanem średniej wielkości gwiazda pośrodku. Konfiguracja tego tworu w stosunku do nich w porównaniu z tą, jaką Donk zapamiętał z poprzedniego oglądu, uległa dość znaczącej przemianie. Zupełnie jakby ją teraz oglądali z góry, pod bardzo dużym kątem. Było to niewątpliwie spowodowane realizacją przez grawiplan nowego kursu.

- Manewr został przy tym tak przeprowadzony - z ledwo uchwytym odcieniem chętności w głosie kontynuował tymczasem Kernan po maleńkiej przerwie wykorzystanej, sądząc po ruchu grdyki, dla przełknięcia śliny - że udało nam się zachować blisko 4 % pierwotnego pędu z grawikanatu.

- A więc można przyjąć, że teraz praktycznie idziemy ślizgiem? - pragnął się upewnić Lomber.

- Nie inaczej - potwierdził Kernan. - Dzięki temu energii z własnych zapasów zużyjemy doprawdy niewiele. Praktycznie tylko tyle, ile będzie jej potrzeba na wykonanie manewru wejście na parkingową wokół Czwartej. Według wstępnych kalkulacji śmiało można przyjąć, że gdyby nam się nawet z jakichś powodów nie udało uzupełnić jej zasobów na tej planetce, to i tak powinno jej w zupełności wystarczyć dla przeprowadzenia manewru ponownego wnikięcia w grawi-

kanat, kiedy już zaistnieją niezbędne po temu warunki!

Zwykle skrajnie powściągliwy w wyrażaniu swych emocji Lomber tym razem nawet nie próbował tać swego ukontentowania.

- To naprawdę znakomita wiadomość! - powiedział niemal z emfazą. - Czy jesteś w stanie choćby w przybliżeniu określić, kiedy te warunki umożliwiające powrotne wniknięcie mogą zaistnieć?

Kernan potrząsnął głową.

- Tego niestety nigdy nie sposób przewidzieć! - powiedział z żalem. - Samo rozpoznanie istoty samego zjawiska pozostawia jeszcze wiele do życzenia, a statystyczny rozrzut czasu trwania tego rodzaju anomalii jest dosyć szeroki. Kiedy na przykład mnie się to przydarzyło, na powrót parametrów grawikanatu nieodzownych dla podjęcia kontynuacji podróży musieliśmy czekać pełnych dwadzieścia sześć dób, licząc według naszego normalnego pokładowego czasu. Z doświadczeń moich kolegów wiem jednak, że to się może przeciągnąć nawet do stu dób. I zdaje się, że jak dotąd nikt nie ma niestety zielonego pojęcia, z czego to konkretnie wynika, od czego zależy!

Donkowi wydłużyła się mina. Wprawdzie nie przepadał za przesadnym fantazjowaniem, ale po tym, co przed chwilą usłyszał, nietrudno mu było wyobrazić sobie, co ich tutaj wkrótce może czekać. Zwłaszcza że nie tak dawno temu dane mu było odczuć namiastkę podobnych przyjemności na własnej skórze!

Wówczas wracali z Trzeciej 61 Virginis w gwiazdozbiornie Panny w wyśmienitych nastrojach, udało im się bowiem to,

czego nie zdołały osiągnąć dwie poprzednie delegowane tam handlowe ekipy: ich negocjatorzy zawarli wreszcie barterowy kontrakt z drowbulami na dostawy prulexu, niezmiernie rzadko występującego w dotąd poznanych rejonach Kosmosu naturalnego biosemiprzewodnika znajdującego szerokie zastosowanie wszędzie tam, gdzie miano do czynienia z mniej lub bardziej kosmetycznymi ingerencjami w obrębie szeroko pojmowanej genetyki. Kiedy już jednak znaleźli się na parkingowej, spotkała ich arcynieprzyjemna niespodzianka: pocziwe, wielce stateczne zazwyczaj Słoneczko poczęstowało ich tak potężną plazmowo-magnetyczną zawieruchą, że chwilowo stało się zupełnie niemożliwe wyszykowanie dla nich przez naziemną obsługę zgodnego z obowiązującymi normatywami zejściowego komina.

Standardem już od niepamiętnych czasów było, że pomiędzy zcyferbytuwstaniem załogantów grawiplanu, które z oczywistych kosmedycznych względów musiało mieć miejsce niezwłocznie po wyjściu przezeń z grawikanału, a jego przyziemieniem się w jednej z magnetokotw na centralnym międzygwiezdny kosmoporcie upływało nie więcej aniżeli parę godzin. W związku z tym problem konieczności zapewnienia im względnie wygodnych bytowych warunków w mniej więcej normalnych sytuacjach praktycznie właściwie nie istniał, a przynajmniej z całą pewnością nie stanowił newralgicznej części podróży, w zupełności wystarczało bowiem wydzielanie na ich potrzeby minimalnej powierzchni użytkowej pojazdu, podczas gdy całą jej resztę można było z powodzeniem przeznaczać na odpowiednio sztautowane towary oraz aparaturę niezbędną dla funkcjonowania po-

szczególnych służb już po dotarciu do celu podróży. Kiedy jednak przychodziło im z jakichś powodów spędzić aż pięć dób w tego rodzaju warunkach na pokładzie grawiplanu, sprawy nabierały zupełnie innych barw. W najlepszym przypadku jedna koja na czterech, tak że można z niej było korzystać tylko według ściśle rozpisanych i bezwzględnie przestrzeganych zmian. Podobna sytuacja w mesie, przy czym tutaj problem zwykle rozwiązywał się niejako samoczynnie, ponieważ przy końcu, po wyczerpaniu się żelaznych zapasów synsubów zaczynano tam z konieczności serwować tak mało apetyczne ochłapy, iż na sam ich widok wspomagany przy tym odpowiednimi zapaszkami głód skręcający dotąd boleśnie kiszkę zwykle pierzchał w popłochu. Jednak najgorsze, przynajmniej według Donka, następowało wówczas, kiedy rozpoczynano ściśle racjonowanie wody, w efekcie czego na całodobowe ablucje musiał w końcu wystarczać jej nie zawsze notabene pełny kubeczek zwykle ledwie wystarczający do niezbyt dokładnego przepłukania zębów.

Wówczas chodziło przy tym tylko o mizerne pięć dób. Tutaj natomiast według prognoz Kernana mogła przecież wchodzić w grę znacząco większa ich liczba. Słowem pozostawało jedynie mieć nadzieję, że glob, ku któremu obecnie chyżo zmierzali, okaże się na tyle gościnny, iż będzie można w trakcie oczekiwania na powrót warunków umożliwiających podjęcie kontynuacji podróży ku rodzinnym pieleszom przynajmniej rozprostować sobie troszeczkę na jego powierzchni kości.

W tym punkcie jego niewesołych rozmyślań Lomber zakasłał, przystaniając sobie usta dłonią.

- No dobrze, moi panowie, nad przyjęciem optymalnej taktyki na najbliższą przyszłość zaczniemy się zastanawiać, kiedy już będziemy dysponować jakąś konkretną wiedzą o obiekcie, ku któremu obecnie zmierzamy - na chwilę umilkł, a potem zwrócił się bezpośrednio do Donka. - Dopóki Croat nie weźmie ciebie w obroty, zechciej rozejrzeć się troszkę w swoim inwentarzu. Tak abyś mógł mi zdać dokładną relację z jego aktualnej kondycji, kiedy tylko ciebie wezwę!

Donk skłonił głowę i bez słowa ruszył posłusznie ku drzwiom. Zgodnie z jego przewidywaniami przy windach już się poczęły tworzyć solidne korki, ale ludzie na widok naszywek na rękawach jego kombinezonu natychmiast rozstępowali się w milczeniu, z widocznym respektem, tworząc dla niego ze swoich ciał wygodną ścieżynkę wiodącą wprost do jednej z kabin. Dość umiejętnie udając, że nie dostrzega ich nabrzmiałych pytań spojrzeń - no bo cóż mógłby im powiedzieć, skoro w tej chwili wiedział przecież niewiele więcej od każdego z nich? - wkroczył do windy. Odczekał chwilę, ale jakoś nikt się nie kwapił do pójścia w jego ślady: pewnie sądzili, że udaje się dokądś w jakiejś arcyważnej misji, od której powodzenia być może zależy bezpieczeństwo i ich samych. Nie wyprowadzając ich z błędu przyłożył wskazujący palec do właściwego guziczka. Cichuteńkie młasknięcie zwiernających się drzwi, kilka sekund bezgłośnego, leciusięńko uginającego w kolanach nogi wznoszenia się i znalazł się na właściwym, czyli przyburtowym, stricte operacyjnym poziomie.

Tutaj korytarz ze zrozumiałych względów nie był zatłoczony. Po prostu dlatego, że dostęp do niego mieli tylko ci spośród załogantów, którzy być tutaj bezwzględnie z racji

sprawowanych funkcji musieli. Z wpuszczonych w sufit owalnych plafonów sączyło się mdławie, jakby rozrzedzone światło ledwie zaznaczające jego anemiczny cień na podłodze wyłożonej płowym plastykiem zdającym się leciuteńko sprężynować pod stopą. Przekroczywszy próg swej personalnej, jednej z nielicznych na pokładzie obdarzonych tym statusem, za to doprawdy mikroskopijnej kabiny, ostrożnie zamknął za sobą drzwi. Przez dłuższą chwilę, wciąż jeszcze z tą dłońią jakby przyklejoną do chłodnawej klamki, stał bez ruchu, niemal bez oddechu, pełznąc oczami z zaskakującym jego samego rozrzewnieniem po idealnej gładzi ścian i nader skromnym, istic spartańskim umeblowaniu. A więc znów był tutaj, cały i jak się zdaje, w zupełnie przyzwoitej kondycji! Nie chodziło naturalnie o brak zaufania do twórców tego całego obficie nafaszerowanego wyrafinowaną techniką mikroświatka: wszak nim zawiśli pośród gwiazd, wszystko zostało przez odpowiednich fachowców dogłębnie przemysłane, precyzyjnie zaprogramowane i nie mniej dokładnie zrealizowane, stukrotnie sprawdzone. Tym niemniej, kiedy człowiek przygotowuje się do cyferbytuwstąpienia, mają w końcu pełne prawo załęgnać mu się w głowie rozmaite myśli. I to nie zawsze z kategorii tych najpogodniejszych!

Przemógłszy niespodziewaną nawet dla niego samego chwilę słabości, z pewnym trudem oderwał wreszcie dłoń od klamki. Po przebraniu się w ważący tyle co nic kostium pokładowy przystąpił do szafki, w której przechowywał podręczną dokumentację. Po krótkim myszkowaniu wyłuskał spośród innych wolumenów opasty rejestr dostępnego na pokładzie sprzętu militarystycznego. Zaścieliwszy blat co prawda jedy-

nego w kabinie, tym niemniej zajmującego niemają jej powierzchnię stolika schematem jego rozmieszczenia, zaczął po krótkim zastanowieniu szkicować w myśli plan działania. Niemal się już z tym uporał, kiedy nieoczekiwanie zaćwierkał sygnał wywoławczy wifonu. Oderwał się od stolika i wskazującym palcem wduśli właściwy klawisz aparatu. Ekran rozjaśnił się i niemal natychmiast ukazał się na nim Croat.

- Ciebie oczekuję za pół godziny! - oświadczył apodyktycznie, zanim Donk w ogóle zdołał otworzyć usta. - I zechciej tak ustawić swoich chłopaków, by się tutaj u mnie, kiedy tylko z tobą skończę, pojawiali jeden po drugim!

To powiedziawszy kosmedyk, który pewnie miał w tej chwili zupełnie co innego na głowie, aniżeli prowadzenie towarzyskich konwersacji, bezceremonialnie się rozłączył. Donk przycisnął więc kolejny klawisz. Po sygnale się zorientował, iż Sanders, jego zastępca, korzysta w tym momencie z wifonu mobilnego.

- Gdzie obecnie jesteś? - zapytał, kiedy wywołany się zgłosił.

- Na towarowym - poinformował go Sanders. - Sprawdzamy z chłopakami to co trzeba.

- Świetnie! - wyraził uznanie Donk. - Będę tam u was za pięć minut.

Towarowy tętnił życiem: zewsząd dobiegały głębokie, basowe pomrukiwania wielofunkcyjnych generatorów, w najrozmaitszych tonacjach pogwizdywały plazmotrony, gniewnie prychając pióropuszcami chłodnych, błękitnawych iskiełek posykiwały zjadliwie aparaty spawalnicze. Świadczyło to dobitnie o tym, że nie tylko oni, militaritycy, zostali

właściwie zachęceniu przez Lombera do niezwłocznego zakasania rękawów. Wyminąwszy z pewnym trudem grupkę ludzi ze służby pomocniczej wlokących w pocie czoła zwoje jakichś grubachnych, solidnie opancerzonych, nie wiadomo do czego służących przewodów dotarł wreszcie do sektora, w którym był składowany sprzęt przynależny do militaryków. Jego drużyna istotnie znajdowała się już tam w pełnym komplecie: Sanders, Bernardo, Jankiewicz, Keleti, Kropotkin i Tuulos. W dwóch słowach wytuszczył im, czego Croat po nich oczekuje, po czym poprosił Sandersa o zaznajomienie go z aktualnym stanem będącego do ich dyspozycji sprzętu. Ku jego niekłamanemu zadowoleniu okazało się, że jego ludzie w gruncie rzeczy mieli tutaj właściwie niewiele do roboty, znakomita większość urządzeń i aparatury znajdowała się bowiem w wysmienitej kondycji, co wystawiało nader pochlebne świadectwo zastosowanemu systemowi konserwacji.

Z myślą o niechybnie czekającej go niebawem odprawie u koordynatora Lombera dobył z kieszonki na piersi poręczny enotesik i odnotował w nim sobie to i owo. Potem zerknął na zegarek, jeszcze raz poprosił, by nie zapominali o konieczności złożenia wizyty kosmedykowi i wykręcił na pięcie.

W pięć minut później oddał się z pełnym zaufaniem w ręce pokładowej służby zdrowia. Mówiąc ściślej, ręce te należały do kosmedyka Croata, tysawego, co prawda filigranowego, ale obdarzonego iście tubalnym jak na swą posturę głosem, zadziwiająco ruchliwego człowieczka o pogodnej rumianej twarzy, wystrojonego w śnieżnobiały, o wiele dla niego za obszerny kitel sięgający mu niemal pięć.

- Zechciej się rozebrać - polecił kosmedyk, ledwie przestąpił prób jego królestwa.

- Do rosołu? - zapytał Donk z palcami na uchwycie eklera.

- Wystarczy do pasa. I troszkę opuść spodnie! - odburknięto mu, jakby miano mu za złe, że sam tego nie wie.

Donk przesunął uchwyt w dół aż do oporu, po czym energicznym poruszaniem ramionami doprowadził do spłynięcia w kilku etapach bluzy ze swego torsu. Kątem oka uchwycił spojrzenie Croata, jakim ten mierzył go w tym momencie od stóp do głowy. Wyzierał z niego niekłamany podziw. Nic dziwnego: wszak człowiek tak już ma skonstruowaną psychikę, że jego uznanie naprawdę wzbudza jedynie to, czego sam z najrozmaitszych względów mieć nie może. A Donk swoimi mięśniami mógłby przecież z powodzeniem obdarować ze trzech takich jak Croat, a i tak by mu pewnie jeszcze co nieco pozostało. Oni, ludzie ze Służby Ochrony potocznie zwani militarykami, nie na darmo przecież zostali wyselekcjonowani według specjalnych, mocno wyśrubowanych kryteriów. Zaaplikowano im nadto całe miesiące najwymyślniejszych treningów, w tym także parotygodniowy pobyt w Bazie BS-23 na Jowiszu, z którego średnio biorąc obronną ręką wychodził tylko co piąty delikwent. No ale kiedy już to następowało, to potem, jak to się mówi, był po prostu nie do zdarcia!

Kosmedyk Croat z widocznym jak na dłoni wysiłkiem oderwał wreszcie od niego oczy.

- A teraz zechciej się położyć tutaj - polecił klepnąwszy zachęcająco po wysokiej, jemu samemu sięgającej niemal do piersi leżance wyłożonej jakimś tak na oko dość grubym,

na poły przeźroczystym, obficie nafaszerowanym siateczką cieniusieńkich przewodów szaro-błękitnawym tworzywem, które zapewne z powodu owej barwy z miejsca skojarzyło się Donkowi z taflą lodu. Przystąpił przeto do niej z gęsią skórą, ale kiedy na prośbę kosmedyka zaczął się na niej z należytą ostrożnością układać, ku jego niepomiernej uldze okazało się, że tworzywo wbrew pozorom jest ciepławe, a przy tym zupełnie sympatyczne w dotyku.

Kosmedyk Croat jeszcze przez chwilę krzątał się wokół leżanki, coś tam majstrując przy poustawianych w rozmaitych miejscach, na pozór bez ładu i składu, w znakomitej większości zupełnie nieznanymi militarkowi aparatami, a potem znikł mu nagle z oczu, jakby się zdematerializował. Po paru sekundach ciszy gdzieś poza głową Donka coś niegłośnie, tak jakoś sucho szcęknięło i salkę objął raptem w posiadanie głęboki półmrok. Nieomal w tym samym momencie z sufitu błyskawicznie opadła na niego kredowobiała ośmiornica biodiagnozera. Mimo woli wzdrygnął się, kiedy jej giętkie, nadzwyczaj ruchliwe macki przylgnęły, a raczej jakby się łapczywie przyssały do jego czoła, piersi, ramion i bioder. W pewnym momencie poczuł się tak, jak gdyby czyjeś suche, chłodnawe palce nagle zanurzyły się w jego ciele i zaczęły bardziej lub mniej delikatnie dotykać rozmaitych narządów, bawić się nimi na najrozmaitsze sposoby. Ale po chwili uspokoił się, gdyż poza pewnym raczej psychicznym, aniżeli fizycznym dyskomfortem raczej nie przysparzało mu to specjalnych przykrości. Następnie najzupełniej nieoczekiwanie, nie mając przy tym pojęcia, jak właściwie do tego doszło, został odwrócony plecami do góry. Penetracja wnętrza jego

organizmu w tej nowej pozycji trwała jeszcze przez pewien czas, a potem cała ta inwigilująca go maszyna tak szybko, jak na niego uprzednio opadła, umknęła w górę, idealnie, nie pozostawiając po sobie nawet najniklejszego śladu, wtapiając się w sufit.

W kilkanaście sekund później w salce z powrotem rozbiły światło, a wraz z tym nie wiadomo skąd wychynął kosmetyk.

- Już się możesz ubierać - zezwolił łaskawie.

Donk ześlizgnął się skwapliwie z leżanki.

- No i jaki masz dla mnie horoskop na najbliższą przyszłość? - zagadnął żartobliwie, sięgając po bluzę kombinezonu.

Croat dobrą minutę trzymał go w niepewności, czy to pytanie w ogóle doń dotarło, manipulując z wielce zaafektowanym wyrazem twarzy pokrętlami centralnego multianalizatora, na seledynowym, leciuteńko zakłęstym monitorze którego wciąż jeszcze tańczyły jakieś zawile rozmaitokształtne wykresy tudzież istic tasiemcowe rządki cyfr. Wreszcie jednak jakby niechętnie przeniósł wzrok na niego.

- Taka kondycja to prawdziwy skarb! - oświadczył z powagą, wpychając energicznie zaciśnięte w pięści dłonie w kieszenie kitla. Chwilę milczał, po czym uzupełnił nieco lżejszym tonem: - Nie będę ukrywał, że czuję się obecnie wielce pokrzepiony wiedząc, w jakich rękach spoczywa nasze bezpieczeństwo!

- Nigdy się nie uskarżałem na zdrowie - wyznał Donk skromnie, podciągając uchwyt eklera pod samą brodę. - Czy masz coś jeszcze dla mnie w programie?

Spis treści

Rozdział I Zcyferbytuwstanie	•	4
Rozdział II U niechcianego celu	•	36
Rozdział III Zniebazstąpienie	•	52
Rozdział IV Rekonesans	•	66
Rozdział V Narady i propozycje	•	99
Rozdział VI W głąb, jak najgłębiej!	•	123
Rozdział VII Miliardy żrenic	•	147
Rozdział VIII Wymuszone decyzje	•	170
Rozdział IX Inne oblicze rzeczywistości	•	208